

Siły elektromagnetyczne, fale radiowe i rewolucje demokratyczne. Czy istnieje historia transgraniczna?

PADRAIC KENNEY

❖ dr, historyk amerykański, wykłada historię Europy Wschodniej oraz historię Polski pod rządami komunistycznymi na Indiana University. Mieszkał i prowadził badania m.in. w Polsce, na Ukrainie i w Republice Południowej Afryki. Autor wielu książek, w tym: *Rebuilding Poland: Workers and Communists 1945–1950* (1997), *The Burdens of Freedom: Eastern Europe since 1989* (2000), *1989: Democratic Revolutions at the Cold War's End* (2009). W Polsce wydano: *Rewolucyjny karnawał. Europa Środkowa 1989* (2005) i *Wrocławskie zadymy* (2007).

Latem 1998 r. prowadziłem w Budapeszcie badania, próbując usytuować rewolucyjne przemiany zachodzące na Węgrzech w 1989 r. w szerszym kontekście przemian regionalnych. Przez rok rozmawiałem w Polsce z setkami działaczy opozycji, zwłaszcza młodszymi, którzy w chwili upadku komunizmu mieli kilkanaście czy dwadzieścia parę lat. Wielu interesowało się ruchem opozycyjnym w sąsiednich krajach – żeby się o tym przekonać, wystarczyło poczytać ówczesną prasę drugoobiegową.

Kiedy zaczynałem badania nad przypadkiem węgierskim, uderzyło mnie podobieństwo czołowej formacji młodej opozycji końca lat osiemdziesiątych, Fidesz (Związku Młodych Demokratów), do najważniejszej młodzieżowej organizacji opozycyjnej w Polsce, jaką był Ruch Wolność i Pokój. Tym, którzy nie wiedzą, wyjaśniam, że była to główna po Solidarności siła nowej opozycji. WiP powstał w 1985 r. na fali protestu przeciwko przymusowej służbie wojskowej i rozrósł się w wielozadaniowy, ogólnopolski ruch, który zajmował się konkretnymi sprawami, działając jawnie i ponad podziałami (należeli do niego zarówno anarchiści, jak

konserwatyści). Kiedy czytałem o założonym w 1988 r. przez studentów prawa Fidesz, rzuciły mi się w oczy podobieństwa. Dziś jest to partia prawicowa, kierowana przez jednego ze współzałożycieli, Viktora Orbana, jednak w pierwszym roku istnienia była dokładnie tym, czym WiP. Demonstrowała w obronie środowiska i wspierała odmawiających służby wojskowej, radykalnie odrzucając ideologię, czym odróżniła się od polityki „starych”.

Jednak historyk badający ponadnarodową współczesność nie powinien ograniczać się do poszlak. Społeczeństwa to nie związki chemiczne, reagujące tak samo w tych samych warunkach, ani upadające jedna po drugiej kostki domina. Historyk musi – co niestety rzadko robi – zadać sobie pytanie, skąd bierze się i na czym polega podobieństwo zjawisk. Społeczeństwa mogą mieć podobny ustrój społeczno-gospodarczy, ale skąd tu i tam analogiczne zjawiska, zważywszy na ograniczenia swobody podróżowania i dostępu do mediów, a także barierę językową?

Po wskazówce udałem się do Budapesztu. Pierwsze wywiady z obecnymi i dawnymi członkami Fidesz potwierdziły zasadnicze podobieństwo do WiP; duże wrażenie zrobiła na mnie ich pomysłowość i wpływ, jaki wywarli na transformację ustrojową, jednak nie zauważyłem bezpośrednich związków. Ostatniego dnia w Budapeszcie, czekając na pociąg do Zagrzebia, gdzie miałem robić kolejne wywiady, rozmawiałem w kawiarni z byłym członkiem Fidesz Péterem Molnárem. Kiedy dowiedział się, że badania zacząłem w Polsce i że rodzina mojej żony nadal żyje we Wrocławiu, ożywił się: „Wrocław! Tak, pamiętam. Byłem tam – kiedy to było, w 1985?”.

Nagle pojawił się związek. Molnár, jak się okazało, pamiętał źle, bo nie był we Wrocławiu. Ale historia okazała się jeszcze ciekawsza. Jego nauczyciele, dwaj młodzi politolodzy, István Stumpf i Tamás Fellegi (z oboma przeprowadziłem wywiady) tak zainteresowali się Polską i Solidarnością, że wybrali się tam w 1983 r. (na drugą pielgrzymkę papieską). Po powrocie uzyskali zgodę na założenie uczelni dla studentów prawa spoza Budapesztu, w większości mieszkańców prowincjonalnych miasteczek, którzy nie znali się na polityce, ale Fellegi i Stumpf widzieli w nich przyszłość Węgier. Obu politologów fascynowała polska opozycja i chcieli zapoznać z jej działalnością swoich studentów. W następnych latach zabierali ich na badania terenowe do Warszawy, Poznania, Krakowa i Gdańska (o ile wiem, nie do Wrocławia). Uczestniczyli w zebraniach i demonstracjach, poznawali kolegów z... Ruchu Wolność i Pokój.

Mamy wreszcie kogoś z dymiącym pistoletem. Okazało się, że i studenci, i nauczyciele poznawali polską opozycję, pragnąc wykorzystać jej doświadczenia. Fidesz, innymi słowy, powstał wedle polskiej recepty. Istniały też inne polsko-węgierskie styczności, ale te były najważniejsze. Wymiana idei i spotkania działaczy opozycji polskiej i węgierskiej odegrały małą, ale ważną rolę w obaleniu komunizmu. Sądzę, że bez polskiej lekcji 26-letni Victor Orbán nie wygłosiłby swej słynnej mowy na symbolicznym pogrzebie Imre Nagya w czerwcu 1989 r. Ani Fidesz nie zerwałby tamtej jesieni z opozycją starszej generacji.

Oto historia transgraniczna w najczystszej postaci. Nie są to ani upadające kostki domina, ani dojrzewający „duch czasów”, ani też nieuchronne siły historii. Oto młodzi ludzie z jednego kraju przychodzą do mieszkań w innym kraju, gdzie spotykają ludzi w podobnym wieku i z podobnych środowisk, jednak zachowujących się całkiem inaczej. Poznają nowe formy działania i zabierają tę wiedzę do domu. Zapożyczają nie tyle konkretne techniki czy tradycje (większość Węgrów nie należy np. do praktykujących katolików), ale sposób myślenia i działania. Samo przekroczenie granic było równie istotne jak nawiązywane relacje.

Jest wiele innych przykładów takiej działalności w Europie Środkowej lat 1986–1989. Związki ukraiń-

skich hipisów z polskim ruchem pokojowym czy litewskimi niepodległościowcami. Polscy kurierzy przewożący w plecakach literaturę do Czechosłowacji, spotkania opozycjonistów w nadgranicznych Karkonoszach. Niemcy z NRD przemierzający w poszukiwaniu *Zivilcourage* Polskę, gdzie spotykali czasem zachodnioeuropejskich działaczy pokojowych. Zatrzymałem się dłużej przy tej kwestii z trzech powodów. Po pierwsze łączy się ona z myślą zawartą w tytule tej konferencji¹. Rok 1989 miał aspekt transgraniczny, czym zajmuję się od dłuższego czasu – ostatnio w książce o ówczesnych wydarzeniach na czterech kontynentach. Po drugie, co warto podkreślić, jest to typ związków transgranicznych trudnych do uchwycenia dla historyków. Indywidualne relacje tego rodzaju są ulotne i zwykle nieudokumentowane; mają też – jak sądzę – znaczne skutki, bo osoby powracające dzielą się doświadczeniem z szerszym kręgiem znajomych. Ale po trzecie chciałbym też zastanowić się nad samą istotą historii transgranicznej. Żeby jednak ustalić, czym ona nie jest i czym być nie może, muszę najpierw stwierdzić, czym jest. Uprzedzając wnioski, powiem tak: wschodnioeuropejskie rewolucje 1989 r. dowodzą, że relacje transgraniczne nasilają się w okresach podwyższonej aktywności politycznej, są krótkodystansowe i obejmują ludzi, których łączą określone interesy i umiejętności. Są oni jak atomy w cząsteczce, związane krótkozasięgową wymianą informacji. Jeśli więc opozycja w bloku wschodnim była molekułą (czego? – niech zdecydują czytelnicy), związki transgraniczne były jak wiążące je siły elektromagnetyczne.

Pytanie brzmi: czy siły te działają też na większe odległości, łącząc mniej podobne obszary. Kiedy zastanawiałem się nad fenomenem transgranicznych zapożyczeń, inspiracji i ruchów, założyłem, że mogłyby to być klucz do zrozumienia wyzwalania się procesów historycznych od tradycyjnych ograniczeń i podstawowe narzędzie interpretacji współczesnego świata. Co do pierwszej kwestii, łatwo przypomnieć sobie okresy historyczne, kiedy wydarzenia w kolejnych krajach zdawały się następować jedno po drugim. Przed rokiem 1989 był 1968, 1956, 1945, 1933, 1917–1920, 1848, 1830–1831... Któryś na pewno pominął, ograniczam się też do Europy. Z każdą z tych dat łączy się tradycyjna narracja

¹ Publikowany tekst jest polską wersją referatu inauguracyjnego wygłoszonego na konferencji: „Transnational Perspectives on Dissent and Opposition in Central and Eastern Europe” (Opozycja z perspektywy międzynarodowej. Historia ruchów dysydenckich i opozycyjnych Europy Środkowej i Wschodniej), zorganizowanej przez Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie 17 IX 2010 r.

dwojakiego typu: albo mamy pojedynczą siłę (jak partia bolszewicka, Nikita Chruszczow, Michaił Gorbaczow czy Adolf Hitler), która wymusza zmiany lub wywołuje niemal jednoczesne reakcje w wielu miejscach, albo też bliżej nieokreśloną „sytuację rewolucyjną” (*Zeitgeist*, jak kto woli), która bierze się cudownym sposobem znikąd. Mozolne i uwieńczone powodzeniem badania nad wielojęzycznymi wysłannikami czy pielgrzymami buda-peszteńskiej rewolucji doprowadziły mnie do wniosku, że w każdej rewolucji znajdziemy podobne osoby szerzące poza zasięgiem radarów nowe idee. Z niedawno wydanej książki o 1968 r. dowiadujemy się, że jeszcze przed majową rewoltą, w marcu, do studentów Sorbony przyjechał z belgijskiego Louvain cały autobus kolegów i koleżanek, którzy opowiadali o walce, jaką toczą z władzami uniwersytetu. Tegoż roku czescy studenci odwiedzili w berlińskim szpitalu rannego Rudiego Dutschke. Chcielibyśmy wiedzieć, jakie idee, perspektywy i koncepcje działania krążyły w dawnych czasach wśród różnych narodów, na ulicach i w kawiarniach Petersburga, Paryża czy Padwy.

Mówimy o momentach rewolucyjnych, ale czy wymiana idei nie trwa stale? Badacze współczesnego feminizmu albo ruchu antynuklearnego mogliby próbować wyjść poza tradycyjną perspektywę koncentrującą się na kampaniach w poszczególnych krajach przeciwko temu czy innemu prawu lub budowie jakiegoś reaktora i spytać o mechanizmy poznawania i zapożyczenia repertuarów protestu. Wyjście w myśleniu poza narodowe granice przysłużyłoby się też badaczom socjalizmu, religii millenarystycznych, nauki.

Nienowoty to pomysł, ale z nową nazwą. „Transgraniczność” znaczy, że ważne jest samo przekraczanie granic, a o jej nowości decydują świadome relacje, które omijają lub podkopują biurokratyczne mury. W najbardziej romantycznym wydaniu to, rzecz można, radość z tego, że nie dzielą ludzi ani armie, ani straż graniczne, ani odrębna edukacja.

Wiemy, że żyjemy dziś w innym świecie. Istnieje, owszem, globalna historia, sięgająca wręcz prehistorii. Jednak ilość współczesnych form komunikacji i ich szybkość stworzyła, jak się wydaje, nową jakość. W 1848 r. na paryski wykład Adama Mickiewicza wędrowałbym stąd tygodniami; teraz mogę błyskawicznie ściągnąć podcasty z Internetu (i jeszcze sprawdzić na YouTube odpowiedź Juliusza Słowackiego). Idee i style szerzą się znacznie

szybciej, sięgając w naszą prywatność głębiej, niż byśmy uznali za możliwe, ogarniają szersze rzesze ludzi. Globalizacyjny trop opanował dyskurs publiczny ostatnich dwóch dekad. Mamy poczucie, że zwykli ludzie, zwłaszcza szukający rozwiązania problemów politycznych czy gospodarczych, coraz łatwiej akceptują wpływy innych kultur i uczestnictwo w międzynarodowych przedsięwzięciach. Nawet ksenofobia wydaje się stać bardziej niż dotychczas w jawnej sprzeczności z siłami globalizacji.

W mojej dziedzinie, jaką są rewolucyjne przemiany w Europie Wschodniej, nic bardziej nie świadczy o potędze transgraniczności niż obecność młodych Serbów i Serbek w Gruzji i na Ukrainie w latach 2003 i 2004. Reprezentowali oni Otpor – ruch, który odegrał decydującą rolę w obaleniu w 2000 r. Slobodana Miloszevicia. Ich styl i taktyka wydały się zresztą znajome, ale o tym później. Atak na Miloszevicia – i wahających się polityków opozycyjnych starszego pokolenia – studenci z Otporu przygotowali starannie, zwracając się nawet o pomoc do kolegów z firm reklamowych. W 2000 r. świat był już zupełnie inny, zarówno w obszarze technologii, jak i międzynarodowego poparcia dla ruchów antyautorytarnych. Członkowie Otporu nie mieli łatwego wstępu do polityki (bardzo podobnie jak WiP tu w Polsce; Fidesz był, jak sądzę, wyjątkiem potwierdzającym regułę) i m.in. dlatego niektórzy z nich chętnie dzielili się swoim doświadczeniem, podróżując. Szybko znaleźli wsparcie organizacji pozarządowych, jak również rządów, dzięki czemu byli w stanie uczyć działaczy w innych krajach postkomunistycznych (zwłaszcza w dawnych republikach radzieckich), w miarę jak nabierały kształtów „kolorowe rewolucje”.

Niektórzy widzą w tym długą rękę amerykańskiego imperializmu. Pozwolę sobie pominąć ten wątek, bo nie wierzę, żeby parę tysięcy dolarów na koszulki, laptopy i „rewolucyjnych doradców” mogło stworzyć rewolucję z niczego, bez udziału zaangażowanych działaczy. Bardziej ciekawi mnie to, jak zmieniały się w minionych pięciu latach poglądy (w tym mój) na transgraniczność politycznych przemian. Jeśli cofniemy się do 2005 r., zobaczymy niemal nieprzerwany ciąg demokratycznych rewolucji, od Filipin w 1986 r. (a nawet Portugalii w 1974 czy rok później Hiszpanii i Grecji) przez 1988 r. w Chile, Europę Wschodnią i Związek Radziecki, aż po kolorowe rewolucje. Koniec zimy 2005 r. to wrzenie w Kirgistanie po wyborach do tamtejszego par-

lamentu i cedrowa rewolucja w Libanie przeciw wpływom Syrii. Mniej więcej wtedy obserwatorzy odnotowali zmiany polityczne w Iraku, dla których kamieniem milowym stały się udane wybory parlamentarne.

Chętnym spisać historię badań transgranicznych sugerowałbym, że ich złoty wiek objął 15 lat, a teraz mamy stan kryzysowy. Słowa „kryzys” nie używam jako obserwator współczesnej sceny politycznej, tylko jako historyk. Demokracja może przeżywać światowy kryzys, ale to inny problem niż ten, jaki mamy wówczas, gdy chcemy świat interpretować. Przyjrzyjmy się jednak najpierw, jak wygląda dziś rzeczywistość rewolucji. Kolorowe rewolucje przeżywają schyłek, a ich przywódcy albo – jak Wiktor Juszczenko na Ukrainie – utracili władzę, albo – jak Micheil Saakaszwili w Gruzji – sterują w stronę autorytaryzmu. W analizach wielu reżimów, które przeszły pewną formę niezadowolającej transformacji, pojawiły się nowe terminy, jak „nieoliberalna demokracja” lub „konkurencyjny autorytaryzm”. Badacze zwątpili więc w użyteczność takich instytucji jak wybory, a nawet partie demokratyczne jako wskaźnika przemian demokratycznych.

Poza tym mamy już całą historię najnowszą nieudanych ruchów demokratyzacyjnych. Najbardziej znane to birmańska rewolucja szafranowa z lata 2007 r. i protesty z lata 2009 r. po wyborach prezydenckich w Iranie. Jedne i drugie spotkały się z szerokim zainteresowaniem międzynarodowym i znaczącym poparciem, jednak zostały skutecznie stłumione. Ciekawsza z naszego punktu widzenia jest tzw. rewolucja twitterowa w Mołdawii w kwietniu 2009 r. Niezadowolone z wyniku wyborów (i niemożności odsunięcia od władzy komunistów) przybrało 6 kwietnia formę demonstracji typu *flash mob* (nagle gromadzącego się tłumu). Protestujący używali komórek, czasem Twittera (lub esemesów itp.), informując się wzajemnie o zgromadzeniach i represjach, co podziało na wyobraźnię zachodnich elit technologicznych i komentatorów. Jeśli w rewolucji mogą w ten sposób uczestniczyć wszyscy, czyż w końcu nie pokonają dyktatorów? Mołdawianie brali więc udział w transgranicznej przemianie, którą symbolizuje importowana technologia i środowisko *online* bez granic. Zamiast czekać na wsparcie lub błagać o interwencję zachodnich dziennikarzy (znajomy element rewolucji sprzed dwóch dekad), mogli sami szerzyć przemiany. Mimo że kraj to niewielki i geograficznie bliski Unii

Europejskiej, mimo wykorzystania nowych technologii i mimo skali protestu rewolucja upadła – rozpisano nowe wybory, w których znów wygrali komuniści, choć przy lepszym wyniku opozycji. Co ważniejsze, rewolucja twitterowa okazała się mitem, bo sama technologia transgraniczna nie powoduje zmian – potrzebna jest polityka. W Mołdawii zabrakło po prostu niezbędnego elementu politycznej przemiany. Pewien obserwator (tak się składa, że Białorusin) przytoczył słowa mołdawskich działaczy, według których potrzebny był nie Twitter, tylko głośny megafon. Innymi słowy, kluczem byłaby najprostsza, miejscowa technologia – połączona z odpowiednią treścią.

W epoce transgraniczności trzeba więc pamiętać, że w ostatecznym rozrachunku rewolucje generowane są raczej lokalnie. Liczy się postawa władz danego kraju, ich możliwości i zasoby, liczy się współpraca elit opozycyjnych, liczy się wyrosłe w jednym miejscu doświadczenie pokoleniowe, liczy się gospodarka kraju, liczy się pogoda. Oczywiście ograniczenia procesów transgranicznych każą przyjrzeć się jeszcze raz wątpliwej tezie o trwającej od trzech dekad fali demokratyzacji. Wielostronne spojrzenie na centralną fazę tej fali – osiem lat od 1986 r. (Filipiny i Haiti) do 1994 (RPA) – nie ujawnia wielu przykładów transferu idei, jaki w 1989 r. odbywał się między Polską i Węgrami.

Filipińczycy wyobrażają sobie np. często, że ich rewolucja różańcowa wpłynęła na rewolucje w Europie Wschodniej, a swoją walkę porównują czasem do Solidarności. Na krótszy geograficzny dystans łatwiej dopuścić związki między Filipinami a demokratyzacją w innych rejonach Azji Południowo-Wschodniej, a zwłaszcza przemianami w Indonezji w 1998 r. Badania wykazały jednak, że nie doszło tam do przekazu idei i stylów. Można co najwyżej stwierdzić przejmowanie symboli, jak w przypadku niektórych Koreańczyków południowych, którzy podczas protestów w 1988 r. używali emblematu filipińskiej partii Laban.

Drugim przykładem są Chiny. Chińscy opozycjoniści interesowali się żywo wydarzeniami w Europie Wschodniej, czytali Václava Havla, śledzili polski Okrągły Stół i witali w Pekinie Michaiła Gorbaczowa. Pamiętamy ich pomnik „Bogini wolności” – wzorowany na amerykańskim, ale przywołujący także demokratyczne protesty tego roku pod pomnikami europejskimi. Jednak ważniejsza lektura rezolucji studenckich z czasu okupacji

placu Tian'anmen ujawnia ubóstwo idei. Studenci nie mieli pojęcia, co robić z „demokracją”, a w momentach kryzysowych, jak podczas spotkań z przywódcami i podczas głodówki, chętniej wybierali retorykę wojującego nacjonalizmu, mówili o poświęceniu i przelewie krwi. Okupacja Tian'anmen nie była zakończonym tragicznie przedsięwzięciem we wschodnioeuropejskim stylu, tylko czymś z gruntu odmiennym, z własną, odmienną logiką.

Ostatni przykład pochodzi z RPA. Przywódcy Afrykańskiego Kongresu Narodowego wiedzieli dobrze, co dzieje się w Europie Wschodniej. W archiwach więzienia w Robbeneiland znalazłem niedawno notatki z dyskusji o Solidarności, którą więźniowie toczyli tam w 1981 r. Po zwycięstwie zwrócili się m.in. do uczestników polskiego Okrągłego Stołu po radę, jak pojednać się z dawnymi ciemiężycielami. Ale w decydującej fazie transformacji liczył się afrykański kontekst, żaden inny. RPA to przypadek specyficzny, bez (na szczęście) wielu analogii.

Bardzo chciałbym móc opowiedzieć inną historię, ale nie widzę wielu dowodów na ów *dance of democracy*. Uciemężone narody powstają, ale na własny sposób, we własnym, specyficznym kontekście. Skąd więc, skoro nie dzięki transgraniczności, jednoczesność wydarzeń? Wskazałbym cztery globalne czynniki: zmianę pokoleniową, postęp technologiczny, dyskurs praw człowieka i zelżenie zimnej wojny.

Mówiąc o zmianie pokoleniowej, mam na myśli znaczące różnice między „pokoleniem '68”, po części zbuntowanym przeciwko zimnowojennym zapędom rodziców (którzy z kolei byli w skali światowej produktem wspólnych doświadczeń drugiej wojny światowej) a pokoleniem 1989 r. Ci, którzy dorastali w latach osiemdziesiątych – sądzę, że nie tylko w Europie Wschodniej, ale i na Zachodzie, w RPA i Ameryce Łacińskiej – mniej interesowali się ideologią niż pokolenie lat sześćdziesiątych, bardziej zaś konkretnym działaniem. W mniejszym stopniu dotyczy to Chin, można więc się domyślać, że właśnie ta różnica była jedną z przyczyn klęski Tian'anmen.

Wspomniałem już o roli technologii w latach osiemdziesiątych. W latach siedemdziesiątych wynaleziono i udostępniono zaskakująco dużo technologii komunikacyjnych, w większości niedostępnych protestującym w latach sześćdziesiątych: telewizję kablową i satelitarą, kamery wideo, wideokasety, magnetofony kaseto-

we i mikrokasetowe, faks, ksero, powielacze offsetowe, komputery osobiste (nie było jeszcze, jak wiadomo, komórek ani Internetu), a także często pomijany transport kontenerowy. Zważywszy współczesną wiarę w wywalającą moc technologii, warto uprzytomnić sobie, jak ważne dla działalności opozycyjnej okazać się mogą stosunkowo proste wynalazki, np. małe, przenośne drukarki i faksy. Nikt nie uważał jednak, jak wynikałoby z naszej obecnej fascynacji Twitterem, że przestaniem może być sama drukarka. Domyślam się, że megafon – nie najłatwiejszy do zdobycia i ukrycia przed policją – miał równie wielkie znaczenie jak pierwsze komputery osobiste.

Mówiąc o technologii, nie zapominajmy o treści. Lata siedemdziesiąte miały kluczowe znaczenie dla globalnego dyskursu praw człowieka. Założona w 1962 r. Amnesty International masę krytyczną uzyskała dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy powstały Helsinki Watch i organizacje siostrzane (Asia Watch itp.). Język praw człowieka, który wszedł na dobre do globalnego dyskursu – posługiwali się nim stale, acz w powierzchowny sposób, prezydenci Stanów Zjednoczonych, przywódcy Organizacji Narodów Zjednoczonych i oczywiście papież – stał się zarazem dostępny ugrupowaniom opozycyjnym na całym świecie. Czesi, Chińczycy i Chilijczycy mogą nieco inaczej rozumieć prawa człowieka, ale są one dla nich wspólnym instrumentarium i wspólną formą komunikacji z międzynarodowymi mediami.

I jeszcze jedno. Wolałbym myśleć, że koniec zimnej wojny zawdzięczamy opozycji demokratycznej, ale trzeba też według mnie pamiętać, że przemiany te ułatwiło w połowie lat osiemdziesiątych złagodzenie konfliktu między Wschodem a Zachodem. Kurczenie się jeszcze przed Gorbaczowem obszaru międzynarodowego oddziaływania ZSRR i spadek za drugiej kadencji Ronalda Reagana zainteresowania Stanów Zjednoczonych antykomunistycznymi sojusznikami napędzały się wzajemnie. Reagan potrafił, acz niechętnie, wycofać poparcie dla Ferdinanda Marcosa, który błagał o pomoc w walce z partyzantką komunistyczną, Gorbaczow nie miał już ochoty wystawiać czeków *in blanco* przywódcom NRD, a Frederikowi Willemowi de Klerkowi łatwiej było zalegalizować Południowoafrykańską Partię Komunistyczną.

Uprościłem tę opowieść, ale co wspólnego mają wymienione czynniki? Po pierwsze są globalne. Jednak – po drugie – są trudniej dostrzegalne na poziomie

poszczególnych krajów, gdzie przekładają się na język odmiennej miejscowej specyfiki. Są to, innymi słowy, czynniki słabe – w tym sensie, w jakim fale radiowe słabsze są od wspomnianych wiązań elektromagnetycznych. Istnieją w tle, stale obecne, lecz nie wystarczą do spowodowania zmian.

Kiedy myślimy, że zajmujemy się historią transgraniczną, najczęściej mówimy, jak sądzę, o falach radiowych – w sensie przenośnym, ale też dosłownie. Ludzie poznają na wielką odległość (często, tak się składa, za pośrednictwem właśnie fal radiowych) idee i działalność innych ludzi, którzy stoją w obliczu z grubsza tych samych przeciwności. Jednak podobieństwa – nawet podobieństwa skutków, jak w latach 1986–1994 – nie są dowodem na transgraniczność. Pojawienie się od czasu do czasu transgranicznych aktorów (jak Michał Gorbaczow w Pekinie w maju 1989 r.) to wyjątek potwierdzający regułę. Obecność Gorbaczowa nie pomogła przecież Chinom wejść na drogę, którą poszła Polska i jej sąsiedzi. Widzimy raczej historię globalną kształtowaną przez szersze, ogólnoswiatowe czynniki strukturalne.

Czynniki takie jak nowe idee, nowe technologie czy przemiany społeczno-polityczne, które w realiach konkretnych krajów nabierają bardzo różnych kształtów.

Transgraniczna historia istnieje. W pewnych sytuacjach, gdy mamy do czynienia z bliskim podobieństwem, wspólnymi doświadczeniami i względnie małymi odległościami (choć nie na skalę cząsteczkową!), intensywna wymiana może upowszechniać konkretne rozwiązania konkretnych problemów. Siły elektromagnetyczne transgranicznej historii mogą – co więcej – dawać początek nowym zjawiskom, rozpowszechniającym się potem w świecie. Wynaleziona w Polsce formuła Okrągłego Stołu, która szybko przyjęła się w całym regionie, jest przykładem odkrytej ponownie i globalizującej się formy działania. Historykom szukającym we wszystkim transgraniczności grozi zbanalizowanie badanych relacji – skupiając się na formie, mogą przeoczyć treść. Ale ostrożnie stosowane podejście transgraniczne pozwala docenić piękno politycznej przemiany w skali regionu.

Thum. Sergiusz Kowalski